S

Cena 15 zł

RÓZGI BIJĄ CO TYDZIEŃ

w numerze:

M. Samozwaniec
J. Huszcza
L. J. Kern
Wł. Smólski

Rok II — 17 sierpnia 1947 r. — Nr 34 (54)

KAJETAN SZALEJ

Gretchen i Hans

Gretchen była podobna do róży,
Miała warkocz i z piegów wysypkę.
Cóż dziwnego, że Hans się w niej durzył
I pod oknem jej nucił: „Mein Liebchen...“?

Hans był również rasowym młodzieńcem,
(Nieco rudym i z zezem na oku),
Ściskał czule spocone jej ręce
I potomka przyrzekał co roku.

Lecz nim przyszło do ich Ehebundu,
Zanim wieniec dziewiczy z niej opadł,
Kazał Führer Hansowi wdziać mundur
I iść walczyć für Volk und Europa.

Gdy ją żegnał i żądał zbyt wiele
Rzekła gładząc Maschinen-Pistole:
„Pobierzemy się w pierwszą niedzielę
Nach dem Siege. Gdy Führer pozwoli...!“

2.

W SS-mańskim zaszczytnym rynsztunku
Hans zaszczepiał Europie kulturę.
Trzeba przyznać: nie lubił rabunków,
Egzekucyj i „akcyj“ ponurych.

I mordował z niechęcią, na rozkaz.
Grabił tylko, gdy tak nakazano!
A co złupił po miastach i wioskach
Ukochanej odsyłał co rano.

Gretchen funkcje pełniła sumiennie
W Ka-zet-Lager (naprawdę, też z musu!),
I do Hansa tęskniła codziennie
Zastrzykując zarazki tyfusu.

Trochę złota i innych rupieci
Ona również zebrała powoli,
By żyć mogli i oni i dzieci
Nach dem Kriege. Gdy los im pozwoli.

3.

Kiedy wojny kres smutny się zbliżył
U stóp wroga Hans dzielny broń złożył.
I pojechał nad brzegi Tamizy
Demokracji się uczyć w obozie.

Gdy jej zasad uczyła go codzień
Chuda lady, nieładna miss Booland,
Biedną Gretchen wciąż w kraju nachodził
Brzydki Jankes, gbur wielki i mulat.

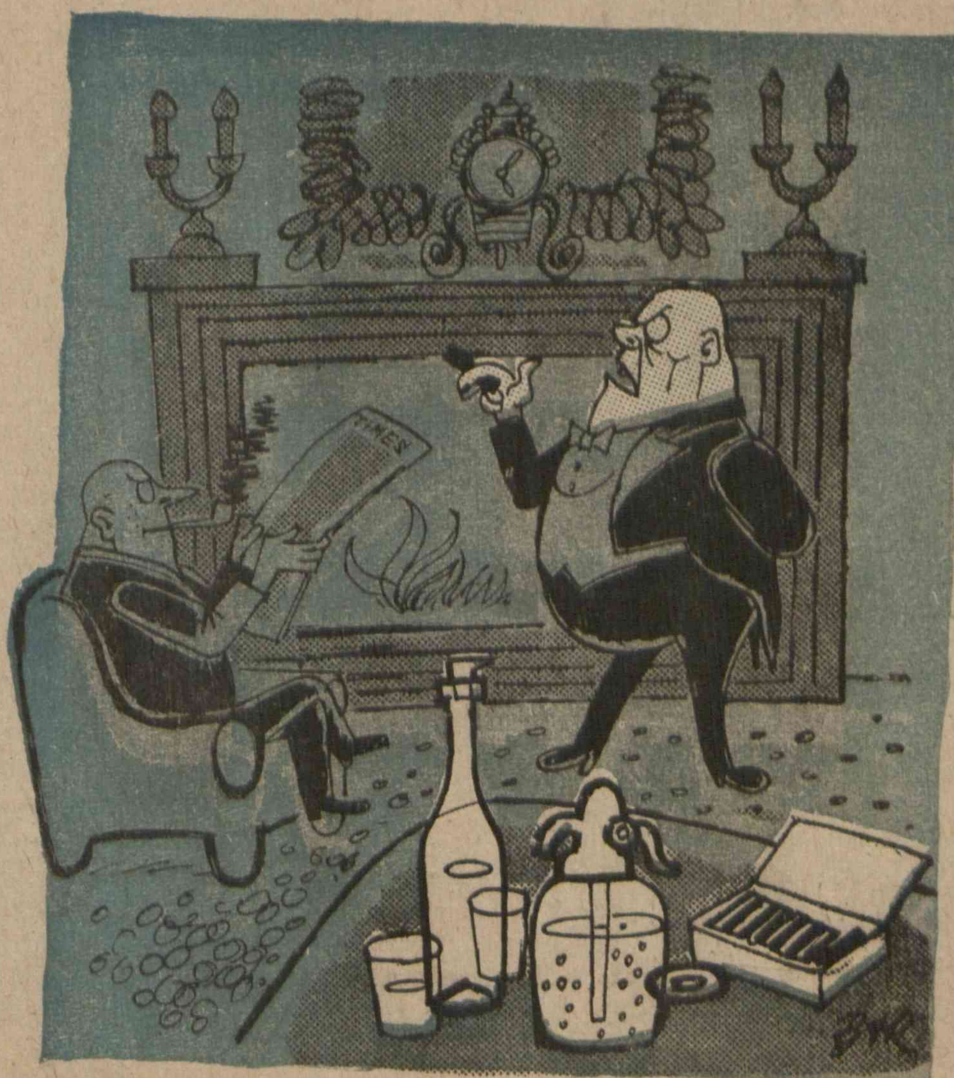
Rozdzielone przez morza i rzeki
Biły serca miłości bezkresem.
Aż złączyli się ślubem na wieki
Hans z Angielką a Gretchen z Jankesem.

Lecz ich myśli ku sobie wciąż lecą
Bo obojgu niezłomną jest wolą,
By małżeństwo złączyło ich dzieci,
Gdy alianci im na to zezwolą.

W MONACHIUM ZOSTAŁ ZAŁOŻONY NIEMIECKO-AMERYKAŃSKI TOWARZYSKI „KLUB PANÓW“



Przy kominie



Rys. KAROL BARANIECKI

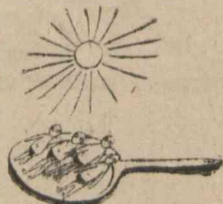
Przy kominku

Ilustr. Regina Kańska

MARE MONSTRUM

Jerzy Zajączkowski

Będziesz miał panoptikum,
fotoplastikon, sto pociech,
gdy przejdziesz się wzdłuż Bałtyku
po modnej plaży w Sopocie.



Tę plażę zupełnie wiernie
można mianem obdarzyć
jakiejś ogromnej patelni,
na której ciała się smażą.



O, tu naprzykład, na lewo,
obok chronicznej dziewicy
leżą, jak Adam przed Ewą,
dwaj starsi b r ą z o w n i c y.

Zapały na siły mierząc
chcą stworzyć akt niezwykły —
Już dwa miesiące tak leżą,
ciągle czekając na... przypływ.



A dalej, nieco dalej,
tuli się czule b a ł w a n
do rozigranej f a l i
(włosów, którą ma panna)

Tam pani w asyście pana
moczą stare odciski
i sypią w Bałtyk Sól Jana,
jak w domu sypali do miski.



A wszędzie słyszysz westchnienia:
„Jak ciężko! Się nie przelewa!
To straszne! Niema wytchnienia!
Cholerne czasy! Naplewać!"

Tymczasem z tym przelewaniem...
Zobaczy, kto patrzeć umie,
jak się przelewa cacanie
niejedno ciałko w kostiumie.



Widocznie z tej wielkiej nędzy
wiszą te tłuszczu połacie...
Widocznie brak pieniędzy
Tak zaokrągla postacie...

Widocznie, ach widocznie...
Eh... długo by można jeszcze
pisać jak źle i mrocznie
jest między Ustką a Wrzeszczem.



Wszystkiego nie opowie
jednak mej liry ton strun,
trzeba samemu bowiem
obejrzeć m a r e m o n s t r u m...

Różne nasze dzienne sprawy

Czy wiecie, P.T. Czytelniczki, iż „aby się mężczyźnie móc zawsze podobać, trzeba umieć wabić„ nęcić i czarować"?

Czy wiecie, P.T. Czytelnicy, iż **„Mickiewicz choć kobietę nazwał marnym puchem, sam kapitulował, choć był takim zuchem"?**

Jeżeli tego nie wiecie, powinniście bezzwłocznie uzupełnić swoje wykształcenie przy pomocy biuletynu Towarzystwa Matrymonialnego „Tamara" (Szczecin, Aleja Piastów 76).

Przydatność tego wydawnictwa stwierdza już sam fakt, iż ukazało się ono w okresie t.zw. ograniczeń papierowych, a więc poniekąd na prawach podręcznika szkolnego. Podobnie jak „Kraj", organ poświęcony reprodukcjom Vanderbildtówien i byków rozpłodowych.

„Co „Kraj" — to obyczaj", z tą jednak różnicą, że „Tamara" zajmuje się rzeczywiście obyczajem towarzysko-matrymonaialnym. Cóż bowiem np. „widziem" w pouczającym artykule pt. „Jak się oświadczyć"?

„Oświadczyć się — oświadcza biuletyn — powinieneś osobie, co do której masz pewność przynajmniej 50 % pewności, że nie odpowie ci — „nie". Jeżeli już tę pewność posiadasz, ubierz się starannie i czysto **(w najgorszym razie przewróć koszulę na drugą stronę)**, odprasuj spodnie, zawiąż świeży krawat i kup kwiaty. W obecnym sezonie kupno kwiatów nie sprawia żadnych poważnych trudności. **Ostatecznie — możesz pójść do sąsiada i oberwać mu parę gałązek bzu** i teraz już możesz stanąć przed obliczem ukochanej".

Prasa, przed której obliczem stanął pierwszy numer biuletynu, „przewróciła go na drugą stronę" i urządziła nagonkę: „uciszyć ten „głos serca"! „Tamara" straszy! Co na to czynniki?

No, a cóż czynniki? Mają serce i patrzą w serce. Dlatego zapewne nie mogą przejść obojętnie do t.zw. porządku dziennego nad matrymonaialnym losem **„emerytowanego szatyna poszukującego religijnej pełnej tuszy", „dość przystojnego tylko nieśmiałego, latek 25"** czy **„linijnej wdowy nadającej się do każdego interesu"...**

* * *

Jeżeli emerytowany szatyn, jeżeli linijna wdowa, jeżeli repatriantka z zawodu pracowniczka państwowa, jeżeli samotny kawaler lub panienka 31 lat wysoka zachwalają się jak mogą i potrafią w swoich „ofertach towarzysko-matrymonialnych" (inteligentny — bardzo miła i sympatyczna — doskonale zbudowany — „mówią, że ogromnie ładna") — to doprawdy jeszcze nic groźnego. Nawet jeśli się okaże (a z reguły się okazuje), że szatyn jest w gruncie rzeczy łysy jak kolano i głupi jak głąb, a linijna wdowa kwalifikuje się ze swymi wdziękami na wczasy dożywotnie do Łysej Góry. Sprawa mało ważna, bo dotycząca szczupłego grona osób, które się ewentualnie nabiorą.

Gorzej jest, jeżeli na „ofertę towarzysko-matrymonialną usiłuje się nabrać całe społeczeństwo. Tak np. uczynił ostatnio „Film Polski", wydając luksusowy katalog kinofikacji (112 stron, 142 zdjęcia, „produkcja 1943 — 1946").

Możemy z góry zapewnić, że w ten sposób „Film Polski" z opinią publiczną bynajmniej się nie ożeni. Katalog katalogiem, a my wiemy dobrze, co to za „amant". Ani inteligentny, ani doskonale zbudowany, ani miły i sympatyczny. Ot, taki sobie dobrze usytuowany leniuch, który pompuje forsę z kinomanów.

* * *

Jak donoszą gazety, „Film Polski" naraził się (dodatkowo) niejakiemu PZPN. Zniesławienie czy coś tam takiego. Nieznany jest sposób rozstrzygnięcia sprawy (przez sąd powszechny? polubowny? honorowy?). Obawiamy się, aby rozstrzygnięcie nie nastąpiło w formie rozgrywki na boisku. Tak! mecz: „Obrażający Filmowcy" — „Obrażeni Piłkarze" — przy wysokim dziś i dżentelmeńskim poziomie sportu piłkarskiego — przyniosłby w rezultacie sporą ilość połamanych goleni i przetrąconych obojczyków.

Mgr. Różdżka

NOKRASHI-PASZA DOMAGA SIĘ USTĄPIENIA ANGLIKÓW Z EGIPTU



Pasza: *PASZOŁ!*

Rys. Regina Kańska

Ilustr. Zbigniew Kiulin



Na pluszowych poduszkach II-ej klasy pociągu, idącego z Warszawy do Łodzi, znajdowało się prócz mnie jeszcze cztery osoby: elegancki pan z elegancką panią, oraz dystyngowana siwa dama, widać jej matka. Obok zasiadał jegomość o bardziej demokratycznym wyglądzie, jak się później okazało w rozmowie, pracownik kolejowy, któremu przysługiwał bezpłatny bilet jazdy. Na szóstym miejscu, które pozostało wolne, mile przypominając czasy przedwojenne piętrzył się stos kolorowych tygodników: „Moda", „Kino", „Co tydzień powieść" itd.



— Swoją drogą — mówił elegancki pan — od czasu wojny zrobiliśmy wiele. Pamiętam, jak to się jechało dwa lata temu. Tłok, ścisk, mordownia. A dziś?

— Rzeczywiście — powiedziała pani. — Pomyśleć, że jeszcze pół roku temu nie było drugiej klasy. Musiałyśmy jeździć trzecią razem ze szmuglerkami.

— Ach, cóż to za druga klasa! — wydęła pogardliwie wargi siwa dama. — Większość przedziałów niewyściełanych.

— W istocie, te same deski, co w trzeciej. Za cóż więc płacić? Za lepsze towarzystwo?...

— Ale jest zawsze kilka przedziałów wyściełanych — bronił pan. — Trzeba ich tylko wyszukać.

— Ja tam po wojnie wolę jeździć niewyściełanymi — rzekł nagle demokratyczny pasażer.

— Jakto? Więc czemu pan wsiadł?

— Kolejarz jestem i znakiem tego na bezpłatny bilet jadę, a w tamtych niewyściełanych nie było już miejsc. Więc się tu przeniosłem.

—Większy tłok niż tu? — zdumiałem się.

— A właśnie. Ludzie się jeszcze nie przyzwyczaili do miękkiego. A przytem, czy to wiadomo, co w takich poduszkach być może?...

Słowa te padły między wykwintne towarzystwo jak bomba. Panie poruszyły się nerwowo na siedzeniach i obejrzały pluszowe oparcie. Pan niby od niechcenia wstał ze swojego miejsca i stojąc przy oknie obserwował niknące wobec pędzącego pociągu łąki i lasy. Kolejarz mówił dalej:

— W drewnianej ławce nic się nie ukryje. Żadnych pozostałości po wojnie... A tu... Ja tegom zwyczajny. Byłem na froncie. Zresztą epidemii tyfusu teraz nie ma. Ale szanownej pani z mamusią to bym radził usiąść na walizkach.

— Ależ panie — krzyknęła elegantka — Pan chyba przesadza?!...

— Jak pani uważa. Ja nie biorę na siebie odpowiedzialności. Niech się choć jedna chwyci, to potem rozpłodzi się...

— Niechżeż pan da pokój!

— Dać pokój! — zawołał kolejarz i szybkim ruchem sięgnął nagle poza plecy dystyngowanej damy. Po czym, niż zdążyliśmy zareagować, w triumfie pokazał towarzystwu, to co złapał.

— Wygrzewała się na słońcu. Ale spasiona!...



W przedziale zrobił się ruch. Obie panie rzeczywiście usiadły na walizkach. Pan stał przy oknie przez całą drogę. Tylko ja poprzestałem na odsunięciu się od pluszowego oparcia.

— Tak, proszę państwa — mówił kolejarz — jadąc drugą klasą trzeba wybierać przedział niewyściełany.

Towarzystwo milczeniem przyznało mu rację.

Na trzeci dzień po przyjeździe do Warszawy uczułem na plecach dziwny świerzb. Domyśliłem się, co to znaczy. Zdjąłem koszulę i po krótkim szukaniu znalazłem. Moja matka aż krzyknęła ze zdumienia:

— Ależ, synu, skąd, jak?

— Z drugiej klasy, Warszawa—Łódź.

— Co ty mówisz?

— Widzisz, mamo, to pamiątka z wojny.

HENRYK HEINE

* * *

Kto ma złota pełny trzos,
będzie wciąż porastał w pierze —
kto ma mało, temu los
rychło drobiazg ten odbierze.

Ale, jeśli nie masz nic,
każ pogrzebać się hultaju!
Bo do życia prawo — wiedz —
mają tylko ci, co mają...

Tłum. Horacy Safrin

LUDWIK JERZY KERN

PRZEDWOJENNY TOWAR

Nieraz słyszysz kupieckie
sakramentalne słowa:
— Panie, nie bądź pan dzieckiem,
to przedwojenny towar!

Brzmi to jak harfa eolska,
jak czarodziejskie zaklęcie —
Gdy ktoś tak powie, to Polska
powinna wierzyć święcie.

I czy to beczka śledzi,
czy jajka, czy „krzyżowa",
wystarczy tak powiedzieć,
by naród biegł kupować.

Dziwne, co najmniej dziwne:
im dalej od wojny koszmaru,
tym więcej kupieckich „kiwnięć"
i tych „przedwojennych" towarów.

Tak samo są sfery ludzi,
którym do dzisiaj została
wizytóweczka, co łudzi.
Tekst: — Przedwojenny działacz.

Niejedni tak mówią o nim
z nutką pewnego zachwytu,
co brzmieć ma jak synonim
umysłowego lesprítu.

Tymczasem sfera owa
zaczyna już gdzie niegdzie,
jak zestarzały towar,
— mówiąc dosadnie — śmierdzieć...



Rys. Tadeusz Gałowski

„Gadu, gadu, a chłop gruszki rwie"

UJEMNY TYP

Początkiem tej historii było ogłoszenie w „Izwiestiach": **Archibald Śpiewak poszukuje swoich krewnych. Prosi o odpowiedź pod adresem: New York 68-e Avenue 138".**

Kogoż nie wzburzą słowa: amerykański krewny, New York i Avenue? W miasteczku, gdzie mieszkali Śpiewakowie (było ich dużo, 200 Śpiewaków na 2000 mieszkańców), ten numer „Izwiestii" sprzedawano po 3 ruble za egzemplarz. Śpiewakowie pluli, ale płacili. Chciało im się na własne oczy ujrzeć wezwanie amerykańskiego krewnego. Wątpliwości nie było. Zbliżało się coś bardzo przyjemnego. Cudowne marzenia opanowały Śpiewaków. Czytali czarodziejskie ogłoszenie i włócząc się po ulicach, ślepo wpadali jeden na drugiego. Nagle zapragnęli objąć Archibalda. Czynili sobie domysły, przypuszczenia, przypominali sobie wszystkich Śpiewaków, jacy kiedykolwiek wyjechali za granicę. I wreszcie przypomnieli sobie. Znalazła się nawet fotografia. Nawet dwie fotografie. Na jednej Archibald wyobrażony jako niemowlę, na drugiej, amerykańskiej, Archibald zdjęty w takiej postaci: na głowie melonik, a w ręku kapelusz, co już wskazywało na bajeczne bogactwo krewnego.

— Ten Śpieważ — rzekł inkasent — Śpiewak, kładąc akcent na słowie „ten" — to producent, kupiec. Wybitna osobistość w handlowym świecie.

Drugi Śpiewak, milicjant, zdjął wojskowy kask, otrzepał się perkalową chustką i dumnie dodał:

— W handlowym świecie Na Wall street.

Wtedy zrozumieli, że zbliża się istotnie coś bardzo przyjemnego. Wieczorem Śpiewakowie pisali listy. I chociaż czynili to w tajemnicy, jeden przed drugim, wszystkie listy zaczynały się jednakowo: „Witaj nareszcie, drogi Archibaldzie". Tak i Śpiewak-milicjant i Śpiewak-inkasent i Śpiewak-ajent letniskowy i Śpiewak-kapelusznik i czapkarz i Śpiewak-b. chorąży z czasów Kiereńskiego.

Wszyscy oni zapewniali o swojej miłości i podawali swoje adresy.

Dwa miesiące trwało milczenie i żaden oddźwięk nie dochodził ze Stanów Zjednoczonych.

Zdawało się, że Archibald nagle ochłódł do swoich krewnych. Być może, Archibalda samego wybrali do kongresu i teraz nie dosięgnie się do niego ręką.

Nagle nadszedł telegram na imię Śpiewaka-ajenta letniskowego. Wstrząsająca wiadomość. Archibald donosił o przyjeździe.

„Osobiście do rąk własnych — w bezmyślnym zachwycie mruczał ajent letniskowy.

Zazdroszczono mu. Sądzono, że jakimiś niewiadomymi drogami zdobył szczególną miłość amerykańskiego obywatela. Ajent letniskowy sam też pojmował, że od tej chwili stał się „szczęścia pieszczochem".

Ogromny był natłok Śpiewaków na stacji w dniu przyjazdu Archibalda. Spodziewano się wykolejenia pociągu, ponieważ naczelnikiem stacji był też Śpiewak i tak się denerwował, że mógł skierować pociąg na ślepy tor. Śpiewaki przez cały czas groźnie sykali na niego, przypominając o surowej odpowiedzialności w kolejnictwie. Ostatnie dwie godziny wszyscy milczeli przygnębieni oczekiwaniem.

Archibalda poznali od razu. Błyszczał jak żar-ptak. Miał na sobie gruby garnitur, kapelusz i wieczny kołnierzyk „Dakota", który można myć pod kranem zimną wodą, przez co usuwa się konieczność kupowania lub prania kołnierzyków.

Stary kapelusznik rozwarł ramiona i ruszył na spotkanie drogiego gościa, b. chorąży ze słowami: „Hallo, Archibaldzie" uderzył krewnego w kościste plecy. Krewny też radośnie kropnął w plecy rębacza. I tak walili jeden drugiego po plecach, wykrzykując „Hallo, hallo" — podczas, gdy pozostali Śpiewakowie stali wokoło i aprobująco kiwali głowami. Śpiewak-milicjant ucałował serdecznie Archibalda, zasalutowaw uprzednio. Ajent letniskowy, w kieszeni którego szeleściły wymarzone dolary, rozepchnął tłum i z bojarskim ukłonem wyrzekł:

— Witaj nam, witaj, całym sercem — prosimy!

Śpiewak-inkasent trzymając na rękach córeczkę, zgrabnie odepchnął bojara i wyciągnął dziecko do Amerykanina.

I tu nastąpiło coś, czego nie spodziewał się nikt ze Śpiewaków. Archibald ucałował dziewczynkę i zażenowany popatrzył na krewnych. Maleńka jego twarz wykrzywiła się i cicho wyrzekł:

— A ja nie mam na życie.

— Hallo? — krzyknął nie dosłyszawszy dureń chorąży. — Hallo, stary?!

— Ciszej! — zakrzyczeli wystraszeni Śpiewakowie. — Co on powiedział?

— Nie mam na życie, dżentelmeni — smutnie powtórzył amerykanin. Dlatego przyjechałem do was.

Tym razem dosłyszeli wszyscy, nawet starowina chorąży.

— Przyjechałeś do nas? — zapytał ajent letniskowy, widocznie denerwując się.

— Mieszkać — potwierdził Archibald.

Wtedy inkasent, wystraszony odebrał dziewczynkę i wziął ją na ręce. A ajent letniskow, który równocześnie był ajentem hotelowym, ze zwykłą oschłością zaryczał:

— Nie ma wolnych pokojów!

I rozpychając krewnych, wybiegł z dworca krzycząc, że jest nazbyt zajęty i nie ma czasu na głupie rozmowy z ujemnymi typami. Twarz Archibalda jeszcze bardziej zamgliła się. Zakrył ją rękami.

Ze zdziwieniem i strachem patrzyli rodzimi Śpiewakowie na Śpiewaka z za oceanu. Kółko rodzinne zamknięte wokoło Amerykanina, zaczęło się rozluźniać. Stawała się rzecz niezrozumiała. Płakał człowiek w pięknym wełnianym ubraniu i wieczystym kołnierzyku „Dakota".

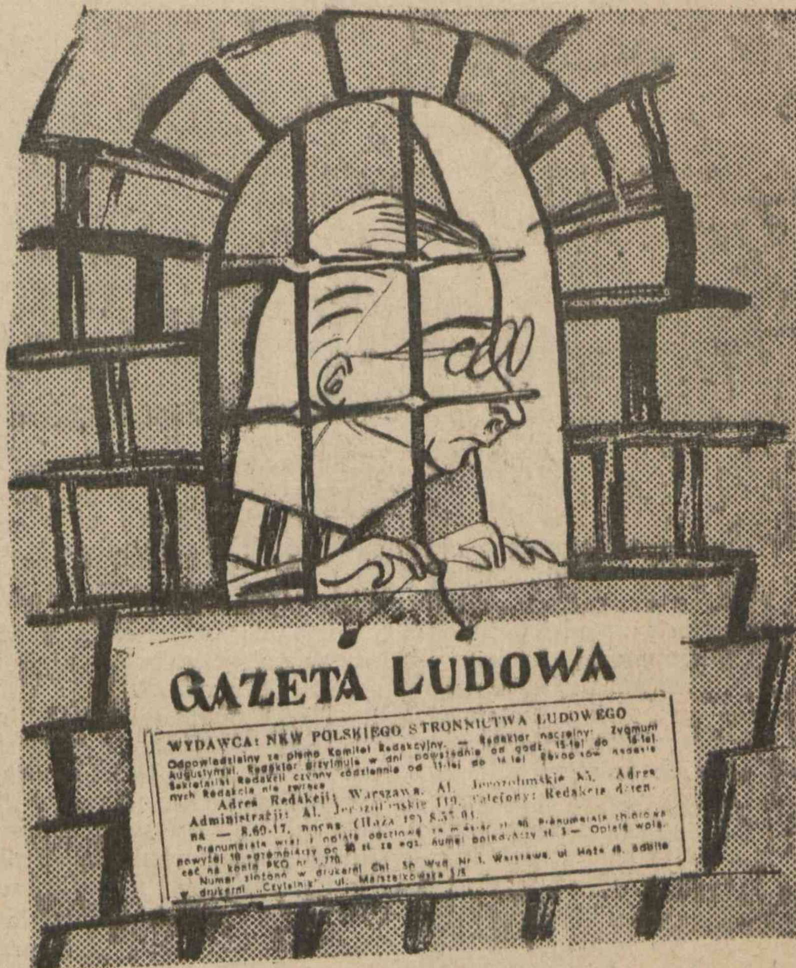
— Naocznie widzimy tu — rzekł milicjant tonem prorokomówcy — typowy wynik anarchist... dukcji i niezdrowej konkurencji. Mamy przed sobą dziecię kryzysu!

Kiedy Archibald opuścił ręce, na peronie nie było nikogo.

Pięć dni wałęsał się po mieście, wędrując od jednego krewnego do drugiego, wywołując swoim apetytem i wyglądem wstręt do kapitalistycznego ustroju. Wyjątkowe obrzydzenie wywołało to, że wielki Archibald umiał tylko handlować. Śpiewakowie zaś zapomnieli już, jak łakomie wwąchiwali stare powietrze komercji. A na szósty dzień ujemny typ został odesłany z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Bilet do granicy kosztował Śpiewaków sześćset rubli zero siedem kopiejek — i ta rana krwawi dotychczas. Jeśli zaś przypomnieć dobrym Śpiewakom ten straszny dzień, kiedy płacili po trzy ruble za numer „Izwiestii" zaczynają ryczeć, jak gdyby im świdrowano zęby wiertaczką. Co się zaś tyczy kapitalistycznego systemu, nie mówi się o tym więcej.

Zaufania do Ameryki zostało poderwane na zawsze.

Tłumaczył **Jan Śpiewak**



Rys. Regina Kańska

Pan redaktor przyjmuje...



(„Le Rire")

...zagroził, że jeśli mnie zobaczy z innym, to go zastrzeli!

— A ty co na to?

— Żeby sobie kupił karabin maszynowy!



(„Srsen")

— Podobno rozwiodłeś się z żoną?

— Tak z powodu różnicy wiary.

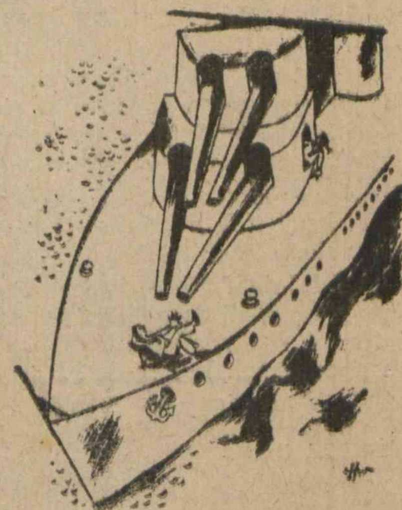
— ??

— Ona mnie nie wierzyła, a ja jej...



(„Sibenicky")

— Nieprzyjemna rzecz: zabrał ze sobą linę!



(„New-Yorker")

— Pytam po raz ostatni: złazisz z łóżka czy nie?!!

NA SYTUACJĘ W GRECJI



Rys. Stanisław Cieloch

Grupa Lao-kona

JAN HUSZCZA

Pożegnanie wakacyj

(Agatce Majewskiej)

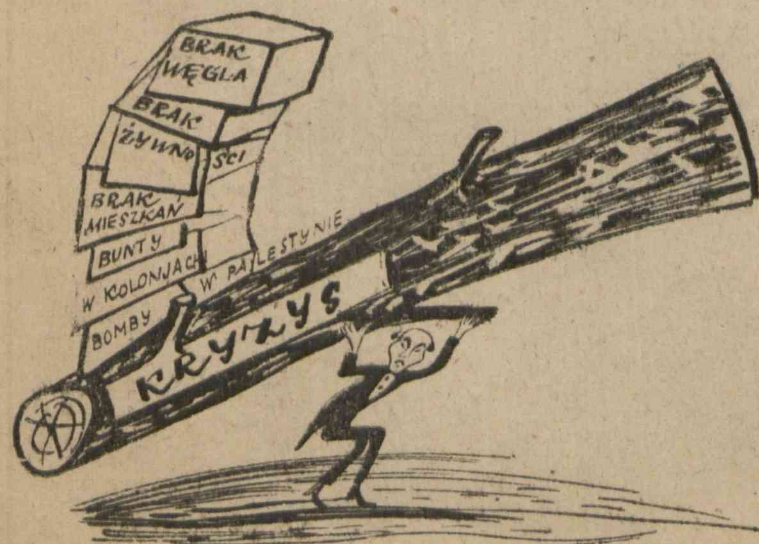
Więc jednak sierpień: słodkie śliwy
w zielonych liściach nad parkanem,
w dali tak zwane złote niwy —
powietrze stygnie jakby szklane.

W kieszeni bilet mam do Łodzi
czyli, że, psiakrew, znów do zajęć —
choć jeszcze długo chciałbym w wodzie
żylaki moczyć i liszaje.

Przy brzegu łódka, leżą wiosła,
lecz ich nie ruszę jak co rana —
by nas ku plaży szybko niosła
w swe szumy Wisła zasłuchana...

Majewska, żegnaj! Już w ogródku
nie będę gwizdał ci na flecie...
Zanim się stoczy łezka smutku,
ach, jeszcze zjedzmy po kotlecie!

PREM. ATTLEE USIŁUJE ZWALCZYĆ KRYZYS



Rys. Regina Kańska

Ciężka atlee-tyka



O mężczyźnie, który chciał się żenić (list do przyjaciela)

Drogi Mietku!

Przyznaję, że chociaż nie jestem ptakiem, ale chciałem założyć gniazdo. Udałem się zatem na nasze wybrzeże, ażeby sobie wyszukać żony. Usłyszałem, że do Sopot pojechały najpiękniejsze kobiety z całej Polski, więc tam pojechałem. Co do pięknych kobiet nie rozczarowałem się, mam wrażenie, że już na wiosnę robiły sumienny przegląd swoich ciał i te, którym, na przykład dzwonko piersi nie mieściły się do żadnego opalacza, albo te, które miały nogi jak wyrzeźbione (patrz nowoczesne rzeźby) przeznaczyły siebie na Jastarnię, Orłowo lub Juratę. Matki z naręczami dzieci w ramionach, to samo. Do Sopot, po auto-selekcji, pojechały tylko same młode i pięknie zbudowane.

Utleniwszy sobie włosy na złoto, ażeby nazwa naszego wybrzeża „Bursztynowy Brzeg" miała pewne uzasadnienie, i sprawiwszy sobie poprzednio olbrzymie okulary koloru ich oczu, to znaczy niebieskie w czerwonej oprawie.

Wszystkie noszą tego roku zamiast majteczek rodzaj pieluszek białych wiązanych na brzuszku i piersi na białym temblaku. Plaża to rodzaj sali w jakimś paryskim domu publicznym, gdzie panienki ukazują się gościom: gołe, ażeby bez rozczarowań mógł sobie wybrać odpowiedni towar. Do morza nie wchodzą tego roku wcale, ażeby nie zamoczyć przypadkiem wymyślnych fryzur, zato leżą wyciągnięte do słońca i opalają się, ażeby nazwa „piernik" nie była tylko, jak dotąd, atrybutem męskim. Jedna z nich zgubiła w piasku obrączkę, którą zdjęła, ażeby żadna nawet najmniejsza parcelka na jej ciałku, nie pozostała normalnego białego koloru.

Czy pamiętasz egzotyczny film polski „Czarna Perła" z Bodem i hawajską tancerką, która śpiewała piosenkę „Dla ciebie chcę być biała..."? One zaś wszystkie powinnyby śpiewać: „Dla ciebie chcę być czarna..." A nam mężczyznom, przecież g... na tym zależy! Wolelibyśmy, ażeby się tak nie wygłupiały z tym słońcem, ale żeby raz przyniosły na plażę jakąś książkę i przynajmniej udawały, że ją czytają. Pewien chłopak, przygotowujący się do matury, powiedział, że przyniósł ze sobą na plażę Homera. — „Czy w puszce?" — zapytała się na to zupełnie poważnie jedna z pierniczek, w białej pieluszce na biodrach.

Wszystkie chcą się koniecznie puszczać, ale gdy się jakiś mężczyzna do nich na plaży zacznie przytulać — piszczą:

— Proszę mi słońca nie zasłaniać!

Opalenizną nudzą do utrapienia, przykładają wciąż jakąś łapę górną lub dolną do twojej łapy i pytają się: prawda, że ja jestem bardziej opalona?... (Prawda, prawda, idiotko, kretynko — myśli sobie każdy z nas, ale uśmiecha się do bałwanki jak do kaczki żółtej lub kanarka).

Ja zaś mam dotychczas tylko opalone skrzydła, którymi chciałem wzlecieć w krainę miłości! — Przepraszam Cię, Mój Drogi, za ten poetyczny zwrot, ale nieraz marzy się człowiekowi jeszcze wielka miłosna przygoda... A to już przepadło — nie będziemy się więcej kochać. Jestem zgubiony, na mężczyzn nie lecę — a sam nie jestem w swoim typie. A w nich się zakochać, mój Boże! to tak jakgdybyś się zakochał w słoneczniku Akurat tyle duszy. Można je tylko... Domyślasz się zapewne, co? Ten ich rzekomy temperament też jest dęty. Chodzi im przecież tylko o to, ażeby inne widziały, że posiadają fatyganta i ażeby potem w rodzinnym mieście pochwalić się, że miały „przygodę".

Jest tu mnóstwo rozwódek, wdów i sierot, które gwałtem chcą powtórnie wyjść za mąż, siedzą więc w kuczki na piasku jak Arabowie w Marokko na targu i głośno wychwalają swój towar; jakie to one są piękne, jaką mają gładką skórę, ilu starających się odrzucają dziennie, ile razy dziennie się myją, ile razy dziennie nie jedzą, ażeby schudnąć. „Wie pan, ktoś mi powiedział, że mam kształty Melony, tej bogini wojny, ale drugi mój adorator znów powiedział, że jestem podobna do Djany, a Djana to przecież pies — więc teraz już nie wiem, czy jestem chuda jak charcica, czy gruba jak Melona. Jaka jestem taka jestem, ale mam coś takiego, że mężczyźni nie dają mi spokoju..."

Powiedziałem jej na to niedawno wymyślonym aforyzmem: „Że lepiej jest mówić o drugich najgorzej, niż o sobie jak najlepiej". Ale ona nie doceniła tego bon-motu, tylko poprosiła mnie, ażebym jej nie zasłaniał słońca!!!

Wieczorem wszystkie te opalaczki idą na dancingi tańczyć dziki taniec „Buzi-Buzi" (pisze się jakoś Bouggy-Bouggy — czy inaczej). Wytrzęsienie ich pustych łebków nie pomaga nic na inteligencję.

Nie ożenię się już nigdy! Rację miał stary pederasta, ukrywający się pod pseudonimem Magdaleny Samozwaniec, że kobiety dzisiejsze to puste „kopro-lalki" — uważam jednak, że zamało złośliwie je w swych dziełach potraktował. Bóg z nimi, ale ja nie!

Ściskam cię twój wierny,

M. s.

Magdalena Samozwaniec

Deszcz pada na wszystkich: na uczciwych i na złoczyńców. Bardziej jednak moknie uczciwy, któremu złoczyńca zabiera — parasol.

* *

Małżeństwo z miłości jest romansem, w którym „bohater" umiera w — pierwszym rozdziale.

* *

Nazywała męża tak długo „aniołkiem", póki jej... nie uleciał.

* *

Można być Cezarem. W stosunku do kobiet odnosi się na ostatku — Pyrrusowe zwycięstwo.

* *

Miłość jest zapomnieniem. Dlatego też „miłujący pokój" dyplomaci cierpią często na patologiczny zanik pamięci.

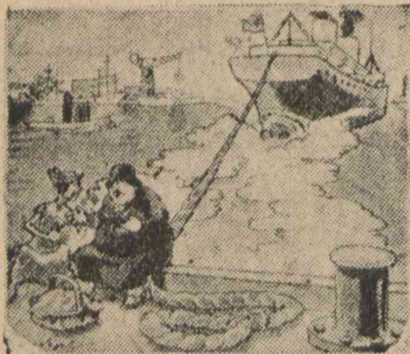
* *

Powiadają, iż dowódca wojsk holenderskich w Indonezji nosi buławę marshall-kowską w tornistrze.

* *

U. S. A. wywożą z Indonezji gumę. Nic dziwnego. Yankes ciężko „przeżuwa" tragedię dzielnego narodu wyspiarzy.

Horacy Safrin.



(„Kerempuh")

— Zejdź-że pani z liny, bo krążownik nie może odpłynąć.



Rys. Tadeusz Ulatowski

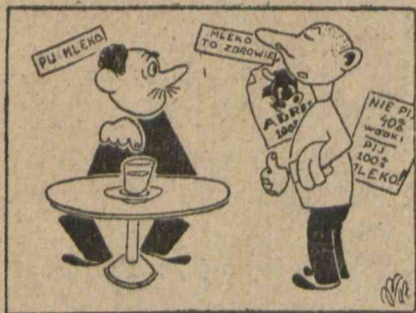
— Widzi pan te litery?

— Widzę, ale nie umiem przeczytać!



Rys. Wacław Lipiński

— Niech mnie pan podsadzi, to urwę panu jabłuszko!



Rys. Janusz Zarębski

— Dlaczego na waszym mleku nie ma nigdy śmietany?

— Ponieważ nalewamy zawsze tak pełne szklanki, że na śmietanę brak już miejsca...

W związku z pogorszeniem się jakości wyrobów P.M.T.



Rys. Karol Baraniecki

„TRIUMF"



Irena S-owa (Warszawa). Nadesłała nam pani wiersz następującej treści:

Tak chciałabym nim jesień mnie zaskoczy,
I nim się lato dla mnie skończy już,
Przed mgłą jesienną co zasnuwa oczy
I tylko ciernie pozostawia z róż...
Tak chciałabym, by po latach wielu
Szare, moje wiersze pięły się ku górze
Jak drobne kwiecie gorzkawego chmielu...
Tak chciałabym bez srebrnego kasku,
Który na skronie starość wciśnie mi
Zasnąć na zawsze wśród polskiego piasku
Tak chciałabym! Czy wierzycie mi?...

Owszem, wierzymy, ale — żeby nie było nieporozumień — musimy stwierdzić, iż zapewne nie jedna jesień zaskoczy, nim szare pani wiersze będą się pięły ku górze.

Zasypiać na zawsze wśród polskiego piasku (w dodatku — bez szarego kasku) doprawdy nie radzimy. Po co się spieszyć, na te rzeczy jest zawsze czas.

Nelly Snek (Łódź). Pisze pani:

Przy biurkach — niby na Olimpie
Sami — bogowie
Oszczędni — w słowie
(W rozumie też)
Gdy sprawę swą załatwić chcesz
To nie zawadzi —
Bliźni ci radzi —
Sadzić — co drugie niemal słowo —
„Pan Radca!", „Pani Prezesowo!"
Mocą dawnego już — nawyku —
Choćby to nawet — oczywista —
Był tylo zwykły — kancelista.

Ponieważ mamy do załatwienia dużo spraw z kancelistami, skorzystamy chętnie z pani wskazówek: będziemy sadzić — zobaczymy, co z tego wyrośnie.

Zygmunt Fujarkiewicz (Zduńska Wola). Pospolity błąd drukarski napotkany w jednej z gazet, natchnął pana do napisania ciętej fraszki p.t. „Korekta — tandetta":

Gdzie jesteś, korektorze,
ja myślę, że nad morzem,
bo zamiast „konferencji"
to piszesz „koferencji"
ale ja to rozumiem,
każdy pisze jak umie,
bo jest przysłowie stare:
humanum est errare.

„Ja będę — dodaje pan — wszystkie błędy drukarskie nadziewał na satyrę". Nie mamy nic przeciwko temu. Życzymy, by panu starczyło czasu i atłasu czyli papieru na nadziewanie.

Wł. Wikler (Przysucha). Jeden ze swych utworów poświęca pan „Krytykowi":

Przyznam się, że jestem grafomanem.
I ty też nim byłeś.
Ja terz źle piszę,
Ty to pierw robiłeś.
Szukasz błędów w mych wierszach usilnie
Nie przeczę znajdziesz w nich coś złego.
Ja też w twych wierszach szukam pilnie
ale nic znaleść nie mogę dobrego.

Przytyk zrobiony krytykowi, sprawia, iż musimy się wstrzymać z wyrażeniem oceny nadesłanych przez pana prac. Oba wiamy się bowiem, że nie znalazł by pan „też nic dobrego" w naszym tygodniku.

„Myszka Peri"

„O powiedzże mi słonko, tak skryte za chmury,
czy człowiek ujrzy wreszcie pogody kontury,
o powiedzże mi niebo, rosnące u góry,
czy świat długo jeszcze tak będzie ponury

Jeśli informacja, czy człowiek ujrzy pogody kontury i czy świat długo jeszcze tak będzie ponury — jest pani potrzebna w związku z wyjazdem na t. zw. wczasy, radzimy się zwrócić do Państwowego Instytutu Meteorologicznego. Przepowiednia P.I.H.M'u „wzięta odwrotnie", będzie stanowiła odpowiedź „słońca i nieba, rosnącego u góry".

„Smutna Lusia" (Wrzeszcz). Pseudonim właściwe obrany. Utwory pani rzeczywiście nas nie rozweseliły.

Antoni Korytkowski (Gdynia). „Mówią do mnie, Szan. Redakcjo, koledzy — jesteś tak dowcipny, pisz do „Rózeg", a ja do nich — nie, nie będę pisał".

Przeczytawszy nadesłane dowcipy — jesteśmy po pańskiej stronie, panie Korytkowski.

R.K. (Łódź).

Do jednej — nie-dziewicy
Czarna Horpyno mych wspomnień płomiennych
Zawitaj do mnie w pozłocie jutrzenki
Bym, przestrzegając rację praw niezmiennych
Nie musiał chadzać z zaułkowe wnęki.
W siedlisko zgryzot i pogardy świata,
Gdzie życie spłaca swój haracz naturze
I rzeźbi w twarzach z rozwydrzeniem kata
Przeżyte grzechy, jak w zmurszałym murze.
Przybądź boginio moich snów i marzeń
A zmienisz żywot na niebiańską frajdę,
Jak chcesz, to przypłyń na fali wydarzeń,
Lecz gdy nie pragniesz, to wnet inną znajdę.

Chadzać w zaułkowe wnęki — naturalnie, pańska rzecz, radzilibyśmy jednak się ożenić. To o wiele zdrowiej, niż pływać na fali wydarzeń wenerycznych.



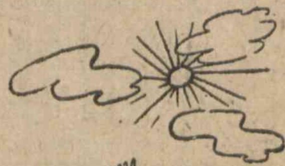
(„Kerempuh")

— Coś pan zrobił z moją głową?

— Ach, przepraszam, ja chciałem tylko pokazać, jaki zakręt wykonałem przed rozbiciem motocykla...



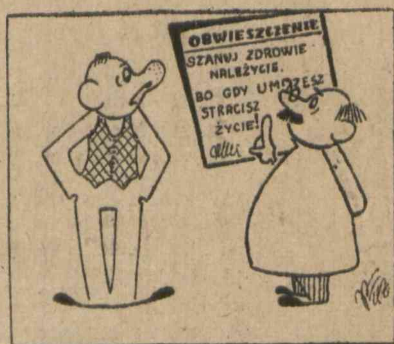
— Ten to zasłużył na premię: w ciągu 2 tygodni się zaręczył, w ciągu 2 dni się ożenił, a w ciągu kilku miesięcy wykonał plan w 200 %... („Srsen")



Rys. Zbigniew Kiulin

— Czy my tylko stamtąd napewno wrócimy?

— Nie ma obawy. Tam napewno pani nie zostanie.

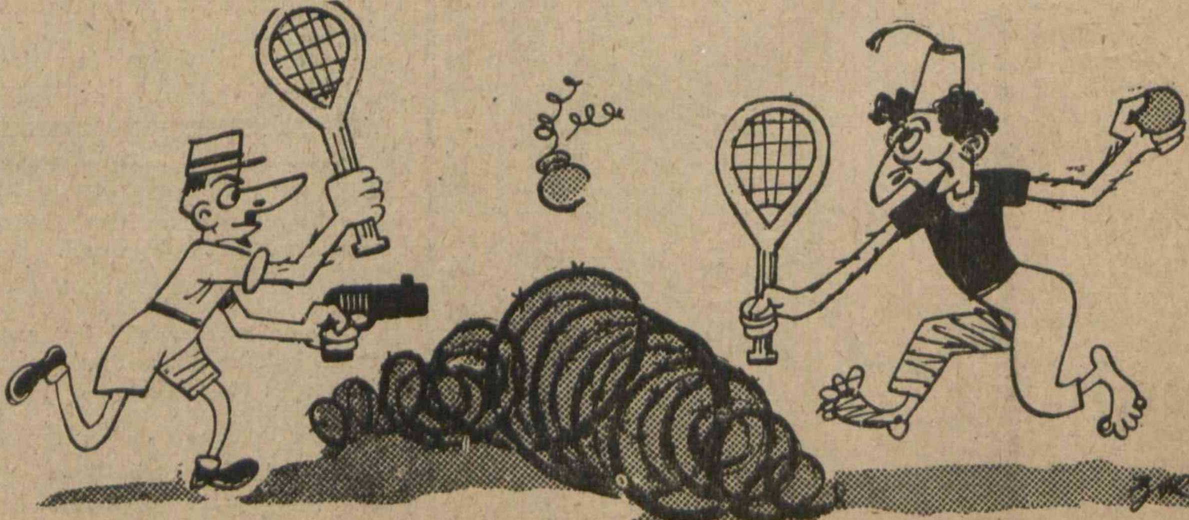


Rys. Janusz Zarębski

— Sekret utrzymania zdrowia, to jeść dużo czosnku!

— Tak, ale trudno ten sekret zachować, bo strasznie czuć...

Z prasy: **W TUNISIE ZAMIESZKI I STRAJKI**



Gra w Tunisa

Rys. Karol Baraniecki

„Rózgi" ukazują się co tydzień. — REDAKTOR: Stefan Stefański. — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-20, wewn. 8. Przyjmuje się codziennie od godz. 12 — 2. Wydaje R. S. W. „Prasa", Łódź, Żwirki 17 — tel. 208-42. D — 017802